NIWA POMORSKA

Dodatek religijno-oświatowy i ludoznawczy do „Dziennika Pomorskiego"

Nr. 4. | CHOJNICE, dnia 1-go sierpnia 1926 r. | Rok 1.

Pieśni-frantówki ludu pomorskiego.

Balada chojnicka.

Koło Chojnic miasta w jednej wsi się stało,
że się dwoje ludzi w sobie zakochało.

On do niej dochodził, nockami wysiadał
i co o niej słyszał, wszystko jej powiadał.

A w ostatniej nocy o pierwszej godzinie: —
„Wstań, o kochaneczko, odprowadzisz ty mnie".

Kochaneczka wstała, odprowadzić chciała. —
Bieluchną chusteczką oczka wycierała.

Wyprowadziła go do dworu pysznego:
Idź Jasinku z Bogiem do domu swojego!

On ją dalej ludzi, by go dalej wiodła,
ale już od żalu dalej iść nie mogła.

Wyprowadziła go aż tam na rozstaję. — —
„Ja ciebie zabiję, gdyż cię nie dostaję.

„Ach mój najmilejszy, dajże się uprosić,
będę ja do Boga modlitwy zanosić".

„Nie, moja najmilsza nie dam się uprosić,
bo twoich modlitew jest u Boga dosyć."

I na kark jej skoczył i załamał ręce
a nie miał litości w jej okropnej męce.

A kiedy ją zabił i w ziemi pochował,
powrócił do domu, rodzicom powiadał:

O, moi rodzice, co wy pomyślicie,
„szczerego kochania wszakże nie zganicie?"

— „Dobrześ zrobił, Jasiu, synu nasz, kochanie,
bo już Magdalenki młynarz nie dostanie.

Rodzice, rodzice, na śmierć mnie nie sądźcie,
ale swym wyrokiem spokojni nie bądźcie!

Ja się sam osądzę: Na koło mnie wbijcie!
i na szubienicę potem zaciągnijcie!

Z Magdalenką jadą, żałotnie śpiewają,
a jej Jasineczka na koło wbijają...

(Uwaga: Pieśń tę podaje Hilferding w „ostatkach" jako pochodzącą z powiatu kościerskiego. Natomiast dr Lorenz twierdzi w „Mitteilungen für Kaschubische Volkskunde, że może ona pochodzić jedynie z powiatu puckiego ze Sławoszyna albo Strzelina, a to spowodu końcówki ego Lorenz pisze (eho). Otóż trzeba zaznaczyć, że lud kaszubski pieśni swe spiewał nie w narzeczu kaszubskiem lecz w gwarze kościelnej, a podany przez dr. Lorenca czy Hilferdinga tekst jest naciągany i dorabiany. Wskazują na to niektóre zwroty czysto polskie, w narzeczu kaszubskiem nie używane. Stąd pochodzenia tej pieśni trudno dociec. S.)

Z podań ludu pomorskiego.

Duchy leśne w Tucholskich Borach.

Według wierzeń pogańskich przodków naszych lasy i wody zamieszkane były wówczas przez mnóstwo dobrych i złych duchów jak: omany, błędnicy, wodnice, topielice, rodzanice, dziwożony (od dziwu), panuńcie, wiły, brzeginie rusałki (od rosy), dzikie męże i t. p., które były człowiekowi zależnie od ich charakteru życzliwe albo też różne mu wyrządzały psoty i szkody.

Pozatem lud różnie sobie tłomaczył rzekome pojawianie się strachów. Przeważnie uznawał w nich karę za występne życie niektórych wyszczególniających się wśród okolicznych mieszkańców osób.

Jest zrozumiałem, że na tak wielkim obszarze jak Bory Tucholskie duchów tych i strachów wyobrażono sobie bardzo liczebnych. I tak np, wierzono, że borowy, który za życia zasłynnął ze swej srogości, po śmierci przybrał postać djabelską i w towarzystwie psa czarnego nadal nękał przechodniów albo przejezdnych, jako „dziki mąż leśny."

Zdarzyło się nawet, że ukazywał się nieraz i za dnia, gdy mężczyźni lub kobiety do lasu po drzewo przychodzili. Wierzono, wprawdzie, że byleby mieć dostateczną miarę odwagi, to on nikomu nic nie zrobi. Ale tej sztuki dotąd nikt nie dokazał.

Lasy pomiędzy Starymi Laskami a Męcikałem (pow. chojnicki) były dawniej lasami prywatnemi, które należały dwom braciom. W posiadanie tego lasu dostali się bracia w sposób nieuczciwy, toteż słusznie zasłużyli sobie na karę po śmierci. Umarli obaj równocześnie nagłą śmiercią. Trumny ich opasano żelaznemi obręczami i zamurowano w sklepieniu. Ale już w trzeciej nocy pojawili się djabli i zburzyli grobowiec, rozwalili trumny i zwłoki nieboszczyków zabrali. Następnie ściągnęli nich skórę i sami się w nią przybrali. W skórze więc owych grzesznych braci do dziś dnia pojawiają się w borach. Niekiedy nawet słyszy się jak odbywają polowania z naganką, ale widzieć nic nie można. Są to złe duchy, które w ten sposób się bawią.

Pewna niewiasta niosąc drzewo z lasu, ujrzała pewnego razu czarnego jak pik byka, przedzierającego się przez gąszcze. Postawił się poprzek drogi, tak iż drząc ze strachu porzuciwszy drzewo kobieta uciekła. Innym razem jechała z Małych Chełmów pewna kobieta do Wielkich Chełmów. Naraz konie zaczęły się płoszyć parskać i stawać dęba, tak że parobek ledwie je utrzymać zdołał. Było to jasną księżycową nocą i widzieć było można wyraźnie czarny powóz, na którym atoli nikt nie siedział. Przed powozem galopowały cztery czarne rumaki, którym z nozdrzy pryskały iskry.

Często też spotyka się w lesie mężczyzn i kobiety, które niosą na ramieniu albo też wiozą na taczkach drzewo. Siekiery i piłki niosą na ręku. Są to duchy nieboszczyków, którzy pokutują za kradzieże

leśne. Jeżeli czasem wiry wietrzne wyrządzą w lesie duże szkody, to i to jest sprawką złych duchów. Sci gają one bowiem dusze nieochrzczonych dzieci i powy rywają przytem drzewa,jakie im w ich gonitwie zawadzają.

F. Sędzicki.

W tworzeniu radosc żecu.

Słuchej a wa, co z renną
wstajeta codzeń zorzą,
wa, co was nocny gwiczde
zaledwie do snu złożą —

Co barujeta z młodu
i w pózny, stary lata :
Po co to waju żecy?
Co mota z tego swiata?

— Tę rozkosz. jaką słuńce,
cie swiecy nąm, doznaje,
ptoch, ciede spiewo.. róże
cierz, ciede kwist wydaje. —

— Cuchnie we stawie fale,
cie wiatr jij nie przewieje
i nie je w cągłym biegu...
bezczynny pług rdzewieje! —

Umiero dąb, cie listka
swieżygo nie przełoży:
w tym cało radosc żecu,
że... wiedno, wiedno tworzy!...

Nocna wycieczka Klubu Żeglarskiego Chojnice.

Gdy słońce żegnało nas ostatniemi promieniami złocistego blasku i mrok zapadł na ciche wody Charzykowskie, 15 łodzi rozpięło w sobotę, swoje żagle i z obsadą około 70 osób mknęło przy dźwiękach orkiestry przez lekkie fale jeziora. Gwiaździste niebo i jasny księżyc opromieniały blaskiem swym dalekie przestrzenie uroczego naszego zakątka, gdy ciemność zapanowała na dobre. Licznemi lampionami oświetlone żaglowce wywarły na widzach nad wyraz miłe wrażenie. Po 2 godzinnej jeździe załoga stanęła przed Mał. Swornegacem, gdzie natrafiła jednakowoż na nie pożądaną wcale przygodę, gdyż przed wznoszącym się nad Brdą w wysokości nie więcej niż 45 cm mostem łodzie musiały stanąć i żagle oraz maszty swoje opuścić. Przy budowie tego mostu nie myślano bowiem o ewent. rozwoju sportu wodnego, tak że nawet zwykłe łodzie rybackie w tem miejscu się nie przeprawiają. To też tylko z ogromnem wytężeniem sił zdołano ostatecznie łodzie pod mostem przeprawić, przyczem jednakowoż uczęstnicy mieli mało „wycieczkowe" wrażenie nocnych ćwiczeń saperskich. W interesie mieszkańców Wiel. i Mał Swornegacu jak wogóle dalszego rozwoju sportu wodnego byłoby pożądanem, ażeby miarodajne władze usunęły tego rodzaju przeszkody komunikacyjne przez przebudowanie omawianego mostu. Przebudowa omawianego mostu nie wymagałaby podług naszego zdania nawet wielkich nakładów pracy ani też kosztów. Wystarczyłaby może tylko winda, któraby most w szerokości 8 metrów unosiła. Po ewtl. przebudowie tego mostu przewiduje się bowiem połączenie motorówkami między Wielk. Swornegacem a Charzykowem, co niewątpliwie przyczyniłoby się do większego ożywienia komunikacji wodnej.

Około godz. 12 tej w nocy łodzie opuściły wybrzeże Mał. Swornegacu i już z daleka wysokie płomienie płonących się ogni w uroczo położonych Wielkim Swornegaciu oznajmiły sternikom miejsce lądowania. Przybyłych witało mnóstwo wieśniaków, zgromadzonych nad brzegiem jeziora, i przy dźwiękach muzyki ruszyli uczęstnicy wycieczki do gościnnej oberży p. Joachimczyka, gdzie po skromnym posiłku młodzież zabawiła się tańcem, starsi zaś udali się na zasłużony spoczynek. Następnego rana kilku spragnionych kąpieli orzeźwiło się jeszcze w zimnych wodach Brdy i po wysłuchaniu mszy św. wycieczka wybrała się z powrotem do Charzykowa, krzyżując przy wietrze po łudniowo wschodnim 20 klm. przestrzeń do domowych przystani Zachwyconym wycieczkowcom czas upływał szybko wśród muzyki, śpiewów i wesołych gwarów. Wycieczka po zwalczonych przeszkodach technicznych wydała w końcu piękny rezultat, a wspomnienie miłe spędzonych chwil uczęstnikom przez długi czas pozostanie w pamięci.

F. Sędzicki.

Od igły do majątku i sławy.

(Dokończenie.)

Ale ta zmiana niebardzo mu przypadła do smaku. Nie bardzo się bowiem czuł swojsko w swym nowym rycerskim zawodzie. Obawiał się, że mocą zażądać jakiegoś nowego dowodu męskości i bohaterstwa, do czego nie miał ochoty. A zresztą uważał, że krojenie sukna jest więcej twórczem od siekania i rąbania mieczem ciał ludzkich na kawałki, z których już żadnej choćby łatanej formy utworzyć nie można, jak ze źle skrojonego fraka Jako rycerz nie mógł jednak już zostać krawcem nadwornym. Poprosił więc o zwolnienie celem zwiedzenia swych rodzinnych stron i więcej już do kraju, w którym doszedł do takiej sławy, nie wrócił.

Przybył do swego rodzinnego miasta akurat w chwili, gdy Franusia czekając daremnie na niego, miała wziąć ślub z rzeźnicem Tasakiem. Ksiądz już czekał przy ołtarzu a Franusia, którą się opóźniła, ponieważ jej krawcowa nie uszyła na czas stroju ślubnego, miała wejść akurat do bramy kościelnej, gdy Jacek na wspaniałym koniu i na czele wspaniałego orszaku z kilkoma dobrze naładowanemi wozami przejeżdżał obok kościoła.

— Jacku! — zawołała Franusia i bez namysłu biegła ku niemu.

Zadziwił się Jacek, ale uradowany nie był, widząc jak się rzeczy miały.

Ale Franusia w kilku słowach wytłumaczyła się zręcznie i dowcipnie jak zwykle kobiety. Tęskniła, ach jak tęskniła za Jackiem. Dniem i nocą go wyglądała, zwilżając nocą rzęsistemi łzami poduszki. Ostatecznie jednak ojciec nalegał, a Tasak, który się od pierwszej chwili do niej zalecał, groził, że jeżeli za niego zaraz nie wyjdzie, to weźmie sobie inną jej towarzyszkę. Nie chciała Franusia stracić dość zamożnego wielbiciela zwłaszcza, że wyczekując z tęsknotą Jacka, stawała się coraz starsza i więdniała z żalu. Pozatem — i to był główny powód — nie chciała dopuścić, by jej towarzyszka ją wyprzedziła i dostała akurat jej wielbiciela Tasaka.

Teraz jednak, skoro Jacek wrócił, niema mowy, aby wyszła za kogo innego, zwłaszcza że przybył taki bogaty i tak uhonorowany.

Jacek nie znał duszy kobiet tak jak i my dzisiaj w wieku oświecenia, wierzył każdemu słowu Franusi i owszem zgodził się na ożenek z nią.

Goście i kościelni niebardzo byli uradowani, gdy dowiedzeli się, że ślub Franusi z Tasakiem się nie od będzie i że czekali dotąd daremnie. Najmniej zaś za dowolony był Tasak, który stał się czerwony jak rak, widząc na co się zanosi.

Jacek jednak wkrótce ułagodził jednych i drugich. Księdzu i gościom weselnym oświadczył, że obrząd ślubny i tak dokonać się może z tą różnicą, że zamiast Tasaka stanie on z Franusią przed ołtarzem, a Tasaka on sowicie odszkoduje, wyposażywszy hojnie towarzyszkę Franusi, jeżeli rzeźnik się z nią ożeni.

Tak więc dzień ów był niesłychanie uroczystym dniem dla mieszkańców tego miasta i kumoszki bodaj zdarły ze sześć par trzewików i kilka par drewniaków, odwiedzając się wzajemnie, aby sobie opowiedzieć wszystkie plotki i anegdoty, jakie krążyły w tym dniu i w następnych dniach o przygodach Jacka i okolicznościach, jakie wywołane zostały wskutek jego powrotu.

Jacek zaś, mając poddostatkiem pieniędzy, wykupił dom po ojcu, który macocha już sprzedała, zwalił go i zbudował nowy, wspaniały dom towarowy, który mimo różnych wypadków dziejowych, wojen i przewrotów, pożarów i przebudowy dotrwał do dziś dnia, pozostawając ciągle w tem samem ręku. A stało się to dzięki temu, że umierając Jacek zastrzegł się w testamencie, iż wszyscy jego potomkowie tylko wtedy mają prawo do odziedziczenia zdobytego przez niego majątku, jeżeli wierni pozostaną zawodowi ojca.

A tak się dotąd działo.

Na dowód zaś prawdziwości tej historji dzisiejsi właściciele firmy i nazwiska pokazują stary olejny obraz przedstawiający ich przodka w dzień ślubu z baronową.

F. Sędzicki.

Na pomorskiem polu.

Na pomorskiem polu wszędzie góry, doły,
gdzie ja się obrócę, widok nie wesoły.
Gdzie ja się obrócę, tam mnie głowa boli:
zaorany smutek w niewydajnej roli.

Rodzi się na polu, wlazł pomiędzy drzewa,
stęka w noc zimową, w słońcu się wygrzewa.
W noc miesięczną szlocha, w mgle jesiennej rosy
i skowyczy głośno w brzęku żniwnej kosy.

W wodzie się przegląda, z deszczem pada
z nieba,
nie da ci spokojnie zjeść kawałka chleba.
Zajrzy do kołyski, wtłoczy na wesele,
trapi w śnie, przy pracy, w codzień
i w niedzielę.

Śmiech nas nie rozbawi, a żart nie łaskoce,
płaczą nasze śpiewy jakby w „puste noce".

(Z dzieła „Wiatr zawiał od pomorskich stron. Gebethner i Wolff Warszawa.)

Wolimier. L.

Przygody wesołe i smutne.

Akuratny rachunek.

Nie wiem, gdzie i kiedy to się działo, ale według opowiadań, jakie w tej sprawie słyszałem, było to przed kilku dziesięciu laty w pewnej miejscowości Pomorza Zachodniego. Miejscowość to niewielka, posiadająca jednak swego burmistrza, kościół ewangelicki, no i naturalnie dużo poczciwych i dobrodusznych obywateli.

W miejscowości tej istniał obszerny smętarz położony na dość wzniosłem i obszernem wzgórzu, nazwanem dopóki ludność się zupełnie nie zniemczyła, Grzebarkiem. Nazwa ta pochodziła od bardzo popularnego i daleko w okolicy znanego grabarza i stróża smętarza który przez szereg lat zawiadywał tymże smętarzem i wyżłabiał na nim ostatnie miejsca spoczynku dla nieboszczyków.

Tenże Grzebark był niezwykle ucieszym człowiekiem i lud okoliczny różne zabawne o nim opowiadał kawały.

Skąd on pochodził, tego nikt nie wiedział, ale sądząc po jego nazwisku i wymowie uważano, że jest on synem ziemi pomorskiej. Według jego opowiadań własnych przechodził on różne i to dość awanturnicze koleje życia.

W młodości zabrał się do różnych rzemiosł i przedsiębiórstw, ale nie miał nigdy szczególnego powodzenia. Zgłosił się więc jako żołdak i jako taki widział różne kraje i ziemie, aż odniósłszy poważne rany powrócił znowu do swych stron rodzinnych. Przechodząc przez wspomnianą na wstępie miejscowość, dowiedział się, że właśnie w owym czasie zmarł tam stróż smętarny i miasto poszukiwało następcy. Grzebark, który ciągle marzył o tem, jakby sobie na stare lata zapewnić przyszłość, spokój i bezpieczny byt, udał się do magistratu, i jako były wojak, nie obawiający się ani nieboszczyków ani strachów, został przyjęty do służby magistrackiej. Dochód nie był wielki, ale Grzebark bogaty był w pomysły..

Zamieszkał zatem w budynku wybudowanym przy wejściu do „miasta umarłych" iażeby powiększyć swe skromne dochody za zgodą władz przełożonych urządził u siebie sprzedaż nagrobków, wieńców, kwiatów itp przedmiotów służących do ozdoby grobów. Następnie atoli pewnego pięknego poranka urządził u siebie — narazie potajemnie — piwnicę i sprzedawał różne napoje tym, których smutny obowiązek sprowadził na smętarzysko celem obsługi nieboszczyków.

Interes ten mu opłacał się wyśmienicie, albowiem najbliższa karczma znajdowała się w oddaleniu conajmniej dwóch kilometrów i wobec tego żadna konkurencja mu nie zagrażała. Pierwszymi jego klijentami byli naturalnie tragarze, potem robotnicy pracujący na smętarzu, następnie zaczęli tu przepłukiwać swe gardła śpiewacy. W końcu zaś i różni uczestnicy pogrzebów zależnie od stanu powietrza ogrzewali się albo chłodzili się lub gasili swe pragnienie u pomysłowego smętarnika. Z czasem zwyczaj ulegalizował pomysłowe i docośne dla Grzebarka przedsiębiorstwo i klientela stróża smętarza wzrastała.

Naturalnie nie każdy zaraz płacił na miejscu, bo niekażdy przewidywał, że na smętarzu napadnie go pragnienie, albo mróz i chłód nakłoni do rozgrzania członków gorącym i palącym napojem. Grzebark zaś był na tyle pomysłowym kupcem, że udzielał każdemu kredyt tygodniowy miesięczny a nawet dłuższy, zależnie od klijenta zapisując sobie należytości na tablicy i prezentując później rachunki.

Jego najwierniejszym klijentem atoli był dozorca szosy Żwirok, który wracając do domu po swych wizytacjach nigdy nie omieszkał odwiedzić swego przyjaciela Grzebarka i przy miłej pogawędce pokrzepić się porządnym łykiem wódeczki.

Przyjaźń ta trwała bardzo długo i Żwirok naturalnie miał swe osobne konto u smętarnika.

Niestety pewnego dnia dusza Żwiroka poszła gościńcem, z której się już nie wraca to jest ku bramie wiecznego tajemniczego świata umarłych i stróż szosowy tym razem zajechał już w czarnym powozie na smętarz na wieczny pobyt, nie zajrzawszy atoli poraz pierwszy do piwnicy swego przyjaciela.

Grzebark naturalnie nie omieszkał uczcić należycie pogrzebu swego wiernego przyjaciela i jest jasnem że przyjaciele zmarłego dużo wypili na tegoż cześć i pamiątkę zmarłego.

Po upływie około piętnastu dni Grzebarka zawezwano przed oblicze burmistrza. Smętarnik powolutko podążył do ratusza i stanął w gabinecie naczelnika miasta.

— Grzebarku, mój przyjacielu — rzekła do niego nie okazując wcale przyjacielskiej miny głowa miasta — spełniacie bardzo marnie swą służbę.

— Kto to śmie to powiedzieć? — zawołał oburzony stróż smętarny. — Podobny zarzut spotyka mnie poraz pierwszy w życiu.

— Tak, tak — potwierdza burmistrz swe zarzuty — spełniacie marnie swą służbę, bo nie pilnujecie nieboszczyków, którzy opuszczają swe groby i swawolne sobie urządzają wycieczki.

Smętarnik otworzył szeroko oczy.

— Ależ to jest doprawdy niemożliwe! Klnę się na Boga, że co noc zamykam na klucz wszystkie drzwi wiodące na cmentarz!

—Mam tu dowód!—odparł zimno burmistrz i majestatycznym ruchu podał mu porządny kawał papieru, na którym znajdował się cały szereg pozycji za skon sumowane przez nieboszczyka Żwiroka napoje, za które zapłaty domagał się Grzebark od rodziny zmarłego przyjaciela.

— Kiedy zmarł Żwirok? — zapytał się spoglądając surowo burmistrz.

— Pochowano go 15 grudnia, w sam czas, gdy śnieg pokrywał grubą i miękką pokrywą wszystkie drogi — odrzekł smętarnik.

— Jeżeli tak — wywodził dalej burmistrz, — jakże jest możliwem, że na rachunku niniejszem, znajdują się pozycje wypitych przez niego napoi już po tym czasie. Nie może być inaczej, jeno tak, że nieboszczyk wstaje z grobu i przychodzi do was na wódkę co wieczór.

Grzebark nie zbity z tropu temi argumentami, chwilę pomedytował a potem rzekł pewnym siebie głosem:

— Panie naczelniku miasta, u mnie są zawsze akuratne rachunki. Rachunek niniejszy jest następstwem pewnej przysięgi i ślubu. Ślubowałem Żwirokowi, że jeżeliby on zmarł pierwszy, to za niego na jego cześć i pamiątkę wypiję co wieczór jeden kieliszek wódki, dając dowód pamięci i przywiązania dla druha którego tak kochałem jak brata. Od chwili jego śmierci spełniałem sumiennie obowiązek, dobrowolnie przyjęty i wypijam co wieczór wielką czarkę ku jego pamięci, no i naturalnie — na jego rachunek. Alboż to nie racja, że akuratne rachunki są podstawą szczerej przyjaźni?

Rozmaitości.

Nowa manja ludzkości. Sekta głodomorów na Węgrzech. Na brzegach jeziora Neuzyderskiego założono w tych dniach pod kierownictwem apostoła Biczerdyego pierwszą kolonję głodomorów. W systemie tym jest głodowanie czemś nagminnem. Głodują ci sekciarze nie za pieniądze i nie w skrzyniach szklanych, gdzie można ich oglądać, ale w namiotach, na świeżem powietrzu, na polach i łąkach. Kolonje założono w okolicy tamtejszej z tego powodu, gdyż obfituje w sady. Inż. Ludwik Inkey, który stoi na czele sekty głodującej, przybył niedawno do Odenburgu, zrzeszył licznych tamtejszych zwolenników głodowania. Miasto nam miotów nad jeziorem urządzono według jego pomysłu.

Trzeba wiedzieć, że biczerdyzm czyni na prowincji węgierskiej olbrzymie wprost postępy, a nietylko na prowincji, ale także w Budapeszcie, gdzie do jego zwolenników zaliczają się liczni lekarze, profesorowie duchowni, wysocy urzędnicy, ministerjalni, pominąwszy już zwyczajnych robotników, kolejarzy, szewców i dru karzy.

Zwolennikom tej sekty nie wolno jeść mięsa. To też adepci biczerdyzmu muszę poddawać się kuracjom głodowym, celem zupełnej wymiany systemu komórek zjadaczy mięsa na — wegetarjańskie. Głodówki te dochodzą stopniowo aż do 24-dniowego zupełnego powstrzymania się od jedzenia czegokolwiek. Ale nawet starzy, doświadczeni sekciarze podawają się kilka razy w roku dwutygodniowym kuracjom głodowym.

Szersza publiczność nie zdaje sobie do tej chwili sprawy z powodów nadzwyczajnego szerzenia się głodomorstwa na Węgrzech W tych dniach przyłączyło się nap. do ruchu w Szagedynie 14 młodych studentów medycyny.

Zajaśniała nowa gwiazda, której światło doszło nas po ośmiu miljonach lat. Za naj bardziej odległe dziedziny wszechświata uważać należy tak zw. mgławice spiralne, przedstawiając dla astronomów bardzo ciekawy przedmiot badań. To, co wiemy o tych niesłychanie odległych światach, zawdzięczamy dopiero badaniom lat ostatnich, a zwłaszcza udoskonaleniu fotografji astronomicznej.

Na tem polu położył wielkie zasługi astronom z Heidelbergu, znany poławiacz gwiazd, Max Wolf. Niedawno zrobił on znów interesujące odkrycie, dotyczące mgławicy w konstelacji Panny, widzialnej silnemi teleskopami, a należącej do siły światła od 8 wielkości. W zagadkowej tej mgławicy astronomowie upatrywali nabardziej oddalony system ciał niebieskich, jaki jest wogóle dostrzegalny dla oka ludzkiego.

Określenie tej odległości nie było wcale rzeczą łatwą. Zwykłe metody astronomiczne, służące do obliczenia odległości gwiazd oddalonych na jakie „biedne" 100 lat światła w tym wypadku ukazały się niedostateczne. Zastosował więc inną metodę, polegającą na badaniu zmienności natężenia światła ciał niebieskich.

Na podstawie tych obliczeń ustalił Wolf, że od dalenie omawianej przez nas mgławicy wynosi olbrzymią sumę 8 miljonów lat światła.. Odległość ta, której człowiekowi niepodobna objąć rozumem, zważywszy, iż rok światła równa się około dziesięciu biljonom kilometrów, a więc mgławica Panny odległ jest od nas o 80 tryljonów kilometrów.

W mgławicy tej odkrył Wolf gwiazdę 12 wielkości której zdjęcia poprzednich astronomów nie wykazują. Jest to więc spotykany nieraz fakt, że promień z owej gwiazdy dopiero teraz dotarł do naszego oka, odbywszy wędrówkę przez przestworza trwającą w tym wypadku — ośm miljonów lat.

Prastara rodzina. Jak donoszą z Teheranu, dokonany świeżo w Persji pierwszy spis ludności wykazał, że we wsi perskiej Mochin mieszka kobieta, licząca, jak stwierdzono, 146 lat! A najlepszym dowodem jej długowieczności jest mieszkający z nią syn, liczący 117 lat.

Redaktor odpowiedzialny: Stefan Tobolski.
Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Chojnicach.